1845. Nr 20. ROK 4.

Redaktor główny Hippolit Skimborowicz.

PRZEGLĄD NAUKOWY

Treść Przedmiotów: — Pan Wojciech i Pan Stanisław, opowiadanie zdarzenia prawdziwego, przez Józefa K. — Naukowe i społeczne stanowisko szkoły, przez Professora Fel. Jezierskiego. — Kronika piśmiennicza polska: Album Warszawskie; — Lud i czas, pismo wileńskie; — Wspomnienia z czasów Napoleona i t d.

SPOŁECZNE I NAUKOWE STANOWISKO SZKOŁY.

Postawcie się — tylko z niezewszystkiem jeszcze przytępioną wyobrażnią — postawcie się nawet w martwém gronie drzew, rzućcie okiem na nieprzeliczone zastępy barczystych sosen i buków odwiecznych., co za uczucie, co za myśl czarodziejska wije się po głowie; w lesie jest błogo, uroczysto; tu fantazija zrywa się z wędzidła, sam rozum wstrzymać jéj nie może — bo to jest ogół. Bogowie pogańscy lubili te miejsca, one były dla nich świątynią najpiękniéjszą. Tajemnicza piękność przyrodzenia polega także na pojęciu massy, miło spojrzéć na to ogromne niebo, bo tam grają światła milionami, bo tam widać odwiecznie postępujący orszak chmur; po ziemi z równym urokiem toczy się społeczeństwo żywiołów; człowiek patrząc na dwie ideje wielkości — na mas-

sę i ruch jest człowiekiem, a przyjmując obie, jest nieśmiertelnym. A religija nasza z nieba do form ziemskich zniesiona, religija czém stoi, jeżeli nie ogółem? co podnosi wszelkie obrzędy do godności poetycznéj, jeżeli nie pojęcie ogółu! W ustroniu, zdaleka od ludzi snujące się dumania filozofa, są cichą modlitwą rozumu; ale ta modlitwa nie ma w sobie światła uroczystości, bo się gubi sama w sobie, bo nie ma formy w któréjby się mogła orzeknąć i związać. Niechże ten filozof wstąpi na mównicę, niech się ujrzy wyniesionym nad poziom zapełniony słuchaczami, niech uczuje że każde jego słowo pada na ogromną rolę, że się tam natychmiast w każdéj duszy zatli życiem organiczném, urośnie i zakwitnie myślą żywotną; ten cichy milczący filozof stanie się wieszczem, każdy wyraz jego staje się potęgą, jego pomysły będą śmiałe, jarzące, a żaden nie zginie, bo się z niego zawiąże samodzielność.

Cóż jest źródłem natchnienia, jeżeli nie silne uczucie ogółu, jeżeli nie potężna wiedza, że ja jestem summą tylu indywidualności, wypadkową tylu rozumów, że jestem niejako wcieloną myślą publiczności? Rozum wypadkowy czterdziestu jest silniejszy od tyluż rozumów oddzielnych, bo do jego potęgi oprócz czterdziestu indywidualności wchodzi jeszcze siła moralna: męzkie uczucie należenia do całości. Stanowisko społeczne, jako najwyższe godło zawiązania się w jedną całość pojedynczych ludzi, oprócz tego że stanowi najpiérwszą i właściwą dobę życia dziejowego czyli że jest najpiérwszém orzeczeniem się ludzkości, ma przytém jeszcze i to, że w każdą osobę, w każdy pierwiastek jéj woli, czucia i rozumu, wlewa jakowąś moc, wiarę i dzielność. To co my w mowie pospolitéj nazywamy instynktem ludów, czyli praktyczną mądrością narodu, jest właśnie moralną wypadkową (summą) połączonych i w jedno związanych indywidualności. Dajmy na to że samodzielność człowieka rozwija się we wszech żywiołach rozumu, serca i wyobraźni; cóżby ztąd przyszło historyi, oświacie, postępowi, gdyby w toku tego rozwinięcia porodzone zdania i sądy leżały wiecznie utajone w zakącie? Tymczasem przez zespo-

lenie ich wewnętrzne, przez starcie moralne i umysłowe, przez trwającą nieustannie grę sprzeczności i zgody, społeczność rośnie i zakwita wszechstronnie; bo żyje i działa walką i równowagą wszystkich stron życia, a w tém życiu zbiorowém toczą się i wyrabiają żywioły wielkiéj opinii powszechnéj. Organizm społeczeństwa orzekłszy się raz na zawsze postaci życia publicznego, tworzy sam przez się doskonały system celów, jego czynnémi środkami są członki, martwe w odosobnieniu, w spojeniu olbrzymie; rozmaitością swoją krążą w około tego systemu i bez spoczynku, za zmierzeniem jednego powstaje drugi, a sama idea ogółu, czyli środek organizmu, stoi nieporuszony jak słońce. — Podobnie rzecz się ma z wychowaniem.

Ludzie nie mający żadnego wyobrażenia o rzeczy, nie wtajemniczeni w żadną teoriję, odważają się wydawać błahy sąd o wychowaniu publiczném, nadają wyższość domowemu. Taki sąd, oparty oczywiście na urojoném widzimi się, łatwo zbić się daje na drodze praktycznéj. Idzie tu wszakże o ustalenie godności wychowania publicznego na stanowisku *rozumowaném*, właśnie dla tego że dziś w epoce konania wszystkich starych przesądów, ten jeden utrzymuje się jeszcze w całéj sile błędu.

Wpatrując się w pojęcie tych, którzy przyznają pierwszeństwo domowemu prowadzeniu, znajdujemy w tém pojęciu wszystkie zasady średnio-wieczności i fanatyzmu. Czy podobna, rzeknie nie jeden z nich, aby mój syn *dobrze* wychowany mieszał się do zgrai nieukształconych, ztąd i zowąd pozbieranych młodzieńców? W takim razie, powie on daléj, gdzie się podzieje jego *delikatność*, to uczucie ślachetne (sic!), ten zmysł dobrego tonu? W brudnéj szkole nauczy się surowości obyczajów, grubijaństwa, a za liche nabytki umysłowe, zmuszą go do wyzucia się z wykwintności ułożenia, słowem z tych wszystkich przymiotów, które w przyszłości mają stanowić całą (bez wątpienia) jego wartość towarzyską. Gdy tymczasem w domu pod czułém okiem ludzi delikatnych, ten młodzieniec może do ostatka zachować nieskażone zalety, które go czynią miłym, pożądanym; dla tego że w domu

łatwo go zasłonić od wszelkich wpływów szkodliwych, usunąć złe, grubijanskie (co wszakże wcale jedno z drugim razem nie chodzi) towarzystwo i opasać go atmosferą najczystszéj etykiety." Zapewne, nie myślimy wcale wydawać walki fanatyzmowi, nie mamy tu na uwadze takich szczęśliwych młodzieńców, którzy się rodzą mądrémi, ułożonémi i t. d. niech sobie drzemią spokojnie w spadkowym rozumie, niedawajcie ich do szkół, niech oprawieni w ramki od kolebki do grobu będą zawsze tak grzeczni, tak kształtni jak lalki, — i naturalnie tak rozumni jak lalki. A nam co do stagnacyi? Owszem, dodamy jeszcze że ten młodzieniec w szkole, obcierając się o tego i owego, zresztą karmiony ścisłemi naukami, tocząc sobie nieustannie siłę rozumowania, odzwyczaja się od pięknego akcentu, który w niego z takiem wysileniem starał się włożyć cudzoziemiec, francuz, niemiec i anglik. Tacy psychologowie, o jakich tu mowa, mają zaiste wielką słuszność. Bo wymuskanego młodzieńca po krótkim pobycie w szkołach poznać już nie można: nie smakują mu konwersacye salonu, przesłodzona metoda pięknego prezentowania się, sznurowane ukłony, wszelki system pozycyi i t. p. nudzą go śmiertelnie. Nacieszywszy się z ojcem, matką i rodziną, która go kocha serdecznie, ten ptaszek, raz puszczony w ogromny przestwór życia wspólnego, radby się lada chwila wyrwać z klatki i ulecić w pole. Tak, matko droga, patrz co się z synem twoim stało, ty go obwozisz po sąsiedztwach, pokazujesz znajomym, aby przecież zbrukaną swoją postawę odświeżył, a on tęskni, przykrzy sobie okropnie, wzdycha do miasta, do tych drogich towarzyszy, do przechadzki, do piłki, do swych niewinnych znajomości, z których się układa rdzeń późniejszych stosunków, najpiękniejszych i najtrwalszych, bo cóż nad przyjaźń szkolną! wzdycha téż i do nauczycieli z których nie jeden zaszczycił go pochwałą, spojrzeniem uprzejmém. I ty matko gniewasz się, miotasz obelgi na szkołę, i z takich wrażeń zawiązuje się w tobie wstręt, i fałszywe i niepochlebne wyobrażenie o wychowaniu publicznem: a za co? za to że chciałaś mieć z syna mydlaną bańkę, gipsowy posąg, wyde-

ły frazesami bez myśli, formami bez czucia, a zatém wiarą bez uczynków. Jeżeli dziecko lubi szkołę, już to samo dowodzi w niém wysokiego udoskonalenia instynktu, bo przez szkołę nauczy się kochać kogoś więcéj nad siebie, — bliźnich swoich, a jeżeli pokocha bliźnich, czyż nie jest już na otwartéj drodze do najwyższych celów ludzkości? Dziecko wnet pokocha szkołę, i oddaném jéj będzie całą duszą. Jakkolwiek w praktycznych drobiazgach swojego zawodu, napotyka czasem na trudności, na przeszkody, jakkolwiek wrażenia szczegółowe bywają tam nieraz rozmaite; bo trzeba niekiedy i odmówić sobie rozrywek, i natężać umysł, wszakże w przecięciu wzięte jego uczucie jest zawsze na stronę uczelni. A cóż dopiéro powiedzieć o młodzieńcu; zwłaszcza jeżeli w jego duszę zapadło błogie ziarnko miłości dla nauk, jeżeli to ziarnko rozwinęło się w silne przekonanie, iż uczelnia jest drogą do świątyni życia. Dziecko kocha szkołę tą stroną duszy, która jest cechą psychologiczną jego wieku — stroną uczucia, tam bowiem uderza jego zmysły niezwykły widok massy, do któréj on sam uznaje się należącym, bo widzi w niéj podobnych sobie obowiązkiem, samą nawet powierzchownością. Młodzieniec kocha szkołę rozumowo, dla tego że w niéj widzi pole do rozwijania towarzyskości na ogromną skalę; że przez nią, widzi się na tym prądzie postępu umysłowego, o którym wszyscy mówią, do którego każdy garnie się żarliwie, jeżeli nie z istotnego natchnienia i popędu, przynajmniéj zewnętrznie. I możeż coś podobnego przedstawić wychowanie domowe, gdzie cała potęga moralna młodzieńca zamkniętą jest w ciasnym zakresie, pomiędzy dwiema lub trzema osobami, z których jedna jest przewodnikiem. Uczeń chowany w domu nie może nigdy wytężyć skurczonych sił umysłowych, bo nie ma do tego organicznéj potrzeby; patrząc ciągle w jedną barwę, w jeden kształt, w jedną płaszczyznę pojęcia. A tak za cały owoc kilkoletniego prowadzenia, otrzymujemy dla społeczeństwa istotę o jednéj barwie, o jedném pojęciu, w niéj mnóstwo przesądów, bo żadnego sądu; ta istota musi być zarozumiałą, bo o wszystkiém rozumuje podmiotowie, bo nie by-

ła nigdy na tém forum obyczajów, gdzie się trą wyobrażenia, gdzie każde zdanie oddzielnego młodzieńca jest średnio-proporcyonalną kilkudziesięciu zdań harmonią tyluż sprzeczności i podobieństw. A cóż dopiéro mówić o właściwie spółecznych wyobrażeniach? te wyobrażenia muszą być niezawodnie karłowate i opaczne, bo człowiek domowego chowu, jest człowiekiem bez stanowiska — Stanowisko tam tylko być może, gdzie jest rozmaitość. Wszelkie zatém zjawiska w pedagogii krajowéj, zmierzające do ściśnienia wychowania domowego, są zbawienne i pożądane, bo mają na celu podniesienie w sercach idei towarzyskiéj.

Mówiliśmy o godności wychowania publicznego pod względem obyczajowym, widzieliśmy że najgłówniejszą stroną tego względu jest panujące w uczelni uczucie ogółu. Nie równie ważniejszą w niém jest strona *naukowa*. Chcąc rozumować o tym przedmiocie trzeba być naocznym świadkiem całego toku owéj pracowni, gdzie się kształci pokolenie według zasad wieku i plemienia, trzeba zbliska i bezpośrednio widziéć bieżącą praktyczność, wszelkie zaś a priori, jeżeli gdzie, tu najpewniéj do zupełnie fałszywych pojęć doprowadzić może. W dawaniu sądu o naturze i umiejętnych dążnościach uczelni, potrzeba więcéj może zachować warunków, jak w sądzeniu o wszelkich innych przedmiotach. Przedewszystkiem zaś pamiętać należy, iż szkoła, pod względem naukowym, jest to bardziéj system środków niż celów, że w niéj wypracowywują się przygotowania do przyszłych teoryj, że jest nareszcie figurą, która późniéj ma się spełnić i czasu swego wydać owoce nauki. Uważmy więc że ludzie wymagający od szkoły samych już celów t. j. biorący ją nie za przedostatnie stanowisko, ale już za samą treść, nigdy oczywiście łaskawego sądu o niéj dać nie mogą, bo wkładają na przewodnika młodzieży taki obowiązek, jakiego się on z natury powołania swego podjąć nie może. N. p. dość jest upowszechnioném zdanie że: szkoła nie przynosi żadnych rzeczywistych korzyści, kiedy w niéj poznanie języków osiągniętém nie bywa; w niéj pożytek czyli jakość zastępuje liczba różnych i różnorodnych umiejętności z których

żadna (dodajmy jednak: pojedynczo) prawie nie może być zastosowaną do życia.„ Wszystkie te i tym podobne zdania nie mylne co do formy, są jednak, co do istoty fałszywémi dla tego, że porodzone w pojęciu empiryczném. Żeby uczeń w szkole miał się nauczyć mówienia n. p. obcemi językami, to niepodobna. W uczeniu szkolném treść ustępuje miejsca formie, nie idzie tu głównie o bogate zapasy wiedzy, o uczoność wielostronną i głęboką, idzie o dyalektykę, o *sposób* nabycia uczoności. I ta zasada powinna nauczycielowi rzucić światło na duch planu, czyli na samą taktykę wykładu. Jest to rzecz zupełnie obojętna, czy młodzieniec będzie miał mniéj lub więcéj naładowany skarbiec treści naukowéj, kilka lub kilkanaście faktów różnicy nie zuboży go ani zbogaci — tu raczéj myślić należy o tém aby wytknąć kierunek, wyjaśnić sam, że tak powiem, rachunek i sztukę dochodzenia prawdy, zbierania szczegółów i ogarniania ich w jeden widok; aby go oprowadzić po wszystkich rzeczach, słowem: — aby wlać w jego rozum zdolność *układu* i ogółowania zjawisk. Co ci potém, że będziesz wiedział, ile toczył bitw Aleksander Macedoński, jeżeli nie wiesz i nie wyobrażasz sobie żywo postępowego znaczenia tych bitew, że będziesz w stanie wyliczyć imiona wszystkich, najpodrzędniéjszych nawet wodzów wojen perskich i peloponezkich, jeżeli ci wodzowie zasłaniają przed tobą piękną, płynącą historiję Grecyi? Niechże więc powierzony twemu kierowaniu umysł pozna i same zjawiska, niech pozna czyny bohaterów; ale niech wie że te zjawiska są z sobą w związku dynamicznym, że pomiędzy niémi zachodzą niejako stosuki rodzin, że się jedne z drugich plenią i wywikłują organicznie. Główną tajemnicą potęgi nauczania publicznego jest ukryty w niém duch współzawodnictwa. Pod współzawodnictwem rozumieć mamy nie tyle chęć albo namiętność odznaczenia się przed innemi — w takim razie najdroższa idea spólności mogłaby się nadwerężyć — jak raczéj mocny popęd do wcielania się w ogólny postęp rówienników. Przy skierowaném w ten sposób współzawodnictwie, pojedyncze władze myślenia uczniów zbierają się i układają w jeden powszechny rozum, którego siła potęgi na tém

że jest właśnie summą wszystkich pojedynczych rozumów. Przewodnik nie raz rzuci na massę zapytaniem, na którego rozwiązanie żaden wzięty oddzielnie zdobyć by się nie mógł, ale tu myślą wszyscy, tu rozum toczy się na wielkiéj osi, i wypadkową swoją waży, jak powiedziałem, więcéj jak wszystkie jedności w odosobnieniu: każde zapytanie musi być rozwiązaném — byle nie przechodziło nad poziom ich wyobrażeń. Tu więc nie liczy się właściwie na sam wywód, na treść rozstrzygniętą, bo ta może być małéj wartości; ale na cele, które się tu ubocznie osiągają t. j. że się przez takie wspólne publiczne myślenie obudza i zaostrza zmysł dyalektyczny. Czy może być coś podobnego w uczeniu domowém, gdzie nié ma współzawodnictwa, gdzie nié ma harmonii, bo nié ma różnicy pojęć, nauka jedynym tylko promieniem pada na młodego, a reszta promieni, nie mając oporu, rozrzuca się po próżni? W uczelni przeciwnie żaden taki promień, żadne zjawisko zmarnować się nie może, bo podany przez nauczyciela przedmiot do rozwagi słuchających, wywołuje z ich umysłu na raz jeden wszystkie siły żywotne, jakich gdziekolwiek i kiedykolwiek nabyli. Wiadomości młodzieńca w szkołach są żywą w ciągłym obiegu zostającą produkciją, w domu te wiadomości kamienieją na martwy kapitał, który albo się wzmaga leniwie albo wcale nie rodzi i leży odłogiem wiecznym. O! nic wyższego nad wychowanie publiczne, już właśnie dla tego że jest publiczném, że raz na raz uobecnia uczniowi tę szczytną ideę społeczeństwa, która ma kiedyś pochłonąć w siebie jego indywidualność. A cóż dopiéro mówić o wszechnicy gdzie tyle rozwiniętych już indywidualnie sił gromadzi się w jeden panteon, gdzie wszystkie wiary, wszstkie wyobrażenia osłonione są powszechném prawem obywatelstwa, gdzie zewsząd zbiera się tyle żywiołów na wielką elektryczność umysłową. Ale na opisanie całéj wzniosłości życia szkolnego któż znajdzie wyrazy? żeby to pojąć, trzeba żyć w tym zawodzie, trzeba oddychaniu atmosferą naładowaną piérwiastkami nauki, postępu, towarzyskości braterskiéj. Młodzieniec, występując ze szkoły na progi praktyczności, nie widzi się w świecie nowym, nie uderza

go skala rozszerzona, bo przywykł już poprzednio do zgiełku pojęć, zdań, obyczajów. Przyjaźń, ślachetność, współczucie dla nędzy, słowem wszystkie cnoty stanowiące rodzajową chwałę człowieczeństw, jego serce znajdują dla siebie otwartém, bo wszystkie te cnoty już poznał, pojął i pokochał w uczelni. Otaczający go ludzie bez względu na swoję osobistość, są jego ukochanémi, bo się za młodu przyzwyczaił rozdzielać duszę i serce pomiędzy towarzyszów. Widzieć w ich gronie biedaka, cierpiącego niedostatek, a nie ulitować się nad nim, to rzecz niesłychana! Człowiek, wychowujący się w domu otoczony jest wprawdzie podobnymi sobie, ale ci, podług wpojonych weń zasad, niemogą wchodzić w poczet istot, do jego czucia należących. W uczelni on uznaje się małą tylko cząstką tego ogromnego systemu, w który zarówno, t. j. z jednakowém znaczeniem wchodzą wyobraziciele wszystkich warstw narodu. Przez nieustanie nasuwające się przykłady wymiaru sprawiedliwości, przez ciągle obrazy, przedstawiające rozmaite strony charakterów, młodzieniec w zakładzie publicznym chowany, nabywa jakiegoś zmysłu odróżnienia dobrego od złego, i pomału wznosi się do bezwzględnego pojęcia: suum cuique, czyli co się należy każdemu podług zasług jego. A gdzież może być miejsce dogodniejsze do wybadywania skłonności, jeżeli nie ta widownia, w któréj wszystkie nerwy ducha, w ustawiczném będąc wytężeniu, objawiają się w płomienistych formach, gdzie choćby najgłębiéj schowane ziarko moralne wykwita w słowach, w ruchu samym, w postawie młodzieńca, gdzie wśród szczeréj zabawy namiętność każdego maluje się kolorem jego indywidualności? Poglądając z ubocza na to rzeźwe grono, możesz się napatrzyć różnych fiziognomij obyczajowych (?), masz przed sobą tysiączne cieniowania; i jeżeli tylko nauczyłeś się patrzyć przez oczy w duszę, masz przed sobą całą przyszłość pokolenia. W domu wszystkie uczucia drzemią snem jednostajnym, — bo nieulegają żadnym wstrząśnieniom, żadnym pobudkom, tam nié ma właściwego życia, bo nié ma czynu; zarody wszelkich namiętności, jakieby się mogły rozwinąć,

muszą się koniecznie zastać, skoro nié mają dostatecznego ruchu do odpływania; jednostajność a stagnacija to zupełnie jedno i toż samo. Jeżeli myśl nié ma się gdzie rozrość, karłowacieje mimowolnie, albo usycha. W szkołach przy rozumném nauczyciela postępowaniu, nauka znudzić nie może, będąc samą rozmaitością, wypływając pośrednio z rozmaitych zdolności i usposobienia uczniów; w domu jest i musi być nudną, bo zawsze i stoi w jednym tonie i bez zmiany. — Czysta Chińszczyzna! Uczeń może się postawić na punkcie krytyka względem siebie, gdyż ma kogoś za sobą i przed sobą, porównywając się z młodszymi i starszymi od siebie, widzi tém samém, czy się oddala od piérwszych i posuwa ku drugim, lub téż przeciwnie, czy stoi na jedném miejscu nieruchomie. Tamten zaś (domowy) odwrotnie, jest podobnym do wędrowca w puszczy, który nie umie się pomiarkować z położeniem i błądzi po ogromném przestworzu nauki, bez wiedzy o celach i zamiarach swojego mistrza, a co większa bez wiedzy o sobie, bo z kimże się ma porównać? tu samodzielność zamiera koniecznie. — Publiczne kształcenie jest na morzu umiejętności, igłą magnesową, tam każde zdanie ma swoje pewne i określone miejsce, dla tego że się poprzednio przetrawia w massie, że przeszło próbę moralnego jéj instynktu — przypuszczając, że instynktem rozumnie pokierować umiał przewodnik (o czém mówiliśmy gdzieindziéj), w domu idzie zupełnie inaczéj, tam rzeczy rozstrzygają się zaocznie, zdania są wyrokami areopagu, w które oczywiście podmiotowość młodzieńca bynajmniéj nie wchodzi bo jego rozum jako pojedynczy, jest tak słabym, że znoszenie się z nim byłoby bezużyteczne.

Tu pomiędzy przewodnikiem, pomiędzy pojęciem jednego a drugiego, zachodzi ogromny przedział, a żadnego środka; w uczelni tym środkiem jest pojęcie ogółu. Ogół (massa dzieci albo młodzieńców) jest to punkt obojętności magnetycznéj, łączący oba jéj bieguny: pomiędzy uczniem, jako jednostką, a nauczycielem, środkuje pojęcie massy. Nauczyciel w każdym uczniu widzi i pokazuje zawsze że chce widzieć, osobę zbiorową. I to rzeczywi-

ście jest i być powinno godłem prawdziwego pedagoga, aby unikał wszelkich praktycznych stosunków z uczniem wziętym w odosobnieniu; i na odwrót: wszelki stosunek ucznia do nauczyciela nie może się rozciągać do niego wprost od osoby, ale powinien przechodzić przez toż samo środkujące pojęcie, — t. j. winien być złożonym na ręce ogółu. Nauczyciel nie występuje nigdy w swoim zawodzie osobowo, indywidualność jego umiera, albo kryje się pod osłoną idei nauczycielstwa, on nie zna ucznia sekretnie, jeżeli zna Piotra lub Jana, zna jedynie przez pojęcie szkoły któréj oni są częścią organiczną. W domu, pomiędzy czterema ścianami, za które, jak oko, tak i dusza dziecka wysunąć się nie zdoła, w domu to szczytne wyobrażenie (przewodnictwa), nie może się nigdy zawiązać w formułę, bo gdzie nié ma liczby, tam nié ma uroku, upokarzającego, a zarazem podnoszącego, duszę. A uczelnia zupełnie co innego ... wprowadźcie do niéj na chwilę dziesięcioletniego gościa, niech oko jego puści się na gwar, niech ogarnia stami idące tłumy młodzieży, to i myśl za sobą wciągnie do chaosu. Zresztą każda szkoła ma swoje podania, na odwiecznych jéj murach młodzieniec czyta niewidomemi głoskami wyryte imiona poprzedników, którzy tam przesiadując, stali się późniéj poetami, mówcami, którzy na tych samych ławkach wypielęgnowali sobie laury nieśmiertelności; tu wychował się ów dziejopisarz, tu filozof, kaznodzieja, muzyk, bohater historyi albo oświaty!

Feliks Jezierski.

PAN WOJCIECH i PAN STANISŁAW.

OBRAZKI.

1. Miasteczko.

Zdarzyło mi się gdzieś czytać iż podróżujący Francuz przyjechawszy do Londynu w nocy, nazajutrz przy śniadaniu musiał poprzestać na bułkach wczorajszego pieczenia — Ciekawy, wyszedł na miasto. Żadnego ruchu, żadnego życia; nawet turkot kół nie przerywał grobowego milczenia; zdawało się że całe miasto wymarło. — Pośpieszył na miejsce zwykłéj przechadzki Dandych, ni żywéj duszy! W wieczór teatr zamknięty. — Znudzony samotnością, tegoż wieczora wyjechał. W drodze dopiéro dowiedział się że to była niedziela. — Niedziela, najnudniejszy dzień w Londynie. Jeżeli wolno małe rzeczy z wielkiemi porównać, toż samo bym powiedział o polskiém miasteczku w dniu sobotnim widzianém — Zajedź w sobotę do miasteczka na popas lub nocleg, nie dostaniesz bułki, ni chleba, a tém mniéj kręconego obwarzanka, grubą i czarną posypanego solą. — Nieświadomy drogi, z trudnością się o nią dopytasz w czasie szabasowego nabożeństwa. Nié ma świeżego pieczywa, nié ma z kim rozmawiać o okolicy. Wszystkie sklepy pozamykane — bo w miasteczkach polskich, prócz żydowskich, innych sklepów nié ma. — Jeżeli cię inna nie wstrzyma okoliczność nad popas lub nocleg, to jeszcze pół biédy, bo łatwo parę godzin przemarzyć na popasie, łatwo przespać choć

niewygodny nocleg w oberzy. Myśl, że niedługo ruszysz dalej, skraca nudy. Ale niech ci się złamie koło, na naprawę którego dwa dni potrzeba czekać na miejscu, wtenczas-to nieszczęście, nieszczęście wielkie! mówię z doświadczenia, chociaż ten wypadek skończył się dla mnie bardzo przyjemnie.

Było to w ostatnią sobotę miesiąca maja w samo południe, kiedym wjeżdżał do miasteczka S*** w podlaskiem (*). Przednie koło u bryczki już słabo trzymało się osi, różne po drodze kreśląc gzykzaki — szprychy się zluzowały. Naprożno mój woźnica wyjeżdżając z noclegu, jak mógł klinował piastę. — Niegodziwe szprychy nie chciały słuchać klinów! Nie bardzo równy bruk miejski, jaknajskuteczniéj się przyłożył do zrujnowania koła! Wjeżdżam na rynek — aż tu raptem trąciłem głową o plecy woźnicy; a woźnica trącił o konia w miejsce najbliższe, jakie z siedzenia swego natrafił. — Koło się rozsypało. Piasta została na osi, szprychy się wszystkie rozleciały, a dzwona szyną wstrzymane daleko się zatoczywszy, nie oparły się aż przy trotoarze, tak jak obwarzanek, gdy w czasie jarmarku, podpiły chłopek zawadziwszy o stragan cały przewróci, lub tylko mocno nim potrząsnie, aż się towar rozleci. — Wjeżdżając do miasta, nie widziałem nikogo, ale skoro mnie spotkał ten wypadek, nie wiedzieć zkąd nagromadziło się kilkanaście młodych żydków, w pantofelkach i w krymeczkach świecącym szychem upstrzonych. — Za nimi zaczęli się gromadzić starsi w białych rantuchach, z workami w ręku i księgami pod pachą, bo jakby na złość skończyło się nabożeństwo, i wierni wyznawcy Mojżesza wracali z bożnicy. — Nie wiem dla

(*) Ostrzegam że zawsze odmieniam nazwiska miejsc i osób, ile razy przychodzi prawdę w oczy powiedzieć, bo za to niektórzy bardzo się gniewają. Kiedy więc powiem że co było w podlaskiém — to pewnie w każdem inném miejscu a nie w podlaskiem.—Kiedy piszę P. Stanisław, to pewnie Jan, Józef i t. p. a nie Stanisław. (Przypisek autora, dla przestrogi drażliwych czytelników).

czego fałszywy wstyd mnie opanował gdym posłyszał gwar i śmiechy wokoło siebie. Schroniłem się do bliskiéj oberży, z któréj wysłałem stróża, aby dopomógł do sprowadzenia bryczki. — Postawiona na trzech kołach, i przez wysłańca podpierana, zaszła przecie na miejsce. Po tym wypadku zrobiłem sobie dwa zapytania:

1. Dla czego ludzie często wstydzą się tego, czego wstydzić się nie ma potrzeby, a nie rumienią się wtenczas, kiedy by się słusznie rumienić należało!..

2. Dla czego ludzie śmieją się z cudzego wypadku?

Niech ci się noga pośliznie na trotoarze, niech wiatr zrzuci kapelusz, który sto kroków gonisz i na próżno laską przytrzymać pragniesz (a nikt inny go nie przytrzyma, chociażby się tylko schylić potrzebował), niech ci na głowę zarzuci pelerynę od płaszcza jeżeli jeszcze nie nosisz algierki, która podobno już z mody wychodzi, albo wreszcie, jeżeli z parasola zrobi się kształtny tulipan, spojrzyj w około siebie, jeżeli spojrzeć będziesz miał śmiałość, a wkoło ujrzysz wesoło śmiejące się twarze. — Coż dopiéro mówić gdy zuchwały wiatr obróci się na przechodzącą kobiétę? Kiedy ta, drobną rączką, z całéj siły przyciska spód swego ubrania. Wtenczas nie tylko ulieczniki się śmieją. — Wtenczas stają i młodzi eleganci i podstarzali kawalerowie, i patrzą jakby na zjawiska nadzwykłe —

Nie miałem czasu na to sobie odpowiedzieć, gdy woźnica wyrwał mnie z dumania zapytaniem: Co będziem robili bez koła? Cóż mamy robić? Dopytaj się kołodzieja i daj do naprawy. Woźnica poskrobał się po głowie, co zawsze było u niego znakiem niezadowolenia. — Wiedząc że w takich razach nie bardzo się śpieszy, nie mając zwłaszcza nic lepszego do roboty, postanowiłem sam się zatrudnić wyszukaniem majstra. — Jest w mieście kołodziéj? zapytałem miejscowego stróża. — Jest wielmożny Panie, ale dziś sobota, południe już minęło, to on pewnie robić dziś nie będzie. Jakto, dla czego? — Bo proszę Pana to straszny pijak! zaczyna świętować od południa w sobotę i kończy w poniedziałek wieczór. Za żadne pieniądze nie skłonisz go Pan do roboty.—Je-

żeli ja go nie skłonię, to pójdę do Burmistrza, może ten go namówić potrafi.—Próżna Pańska fatyga! Pan Burmistrz zna go doskonale, bo on co tydzień hałasuje po mieście, bijąc się z żoną na rynku przy którym mieszka. Nie raz Pan Burmistrz na własną robotę czekać musiał, a nie mógł go znaglić do pośpiechu. Jeżeli nie prośbą, to pewnie groźbą nic Pan z nim nie pokurasz.—„Tam do licha! to sprowadź go do mnie.“ Dobrze Wielmożny Panie, jeżeli tylko jeszcze trzeźwy siedzi w domu, bo z szynku, to go i sam djabeł nie wyprowadzi. — Po tym djalogu nic dobrego nie obiecującym, stróż odszedł.

Stanąłem przed wjazdem austeryi przypatrując się miastu, które z resztą nic godnego uwagi nie miało. — Puste, bo mieszczanie zajęci robotą w polach, a żydzi zajęci w domach objadami. Wkrótce jednak rynek zaczerniał staro-zakonnemi w pseudo-sobolowych czapkach z czarném aksamitném nakryciem, w czarnych już to jedwabnych lub dymowych szubach; już to w perkalikowych różno-kolorowych, grubo watowanych szlafrokach, chustkami przewiązanych, w pantoflach i niebieskich pończochach, w których pięty białą cerowane włóczką, koniecznie w oko wpaść musiały, z rękami za pas założonemi, albo w kieszenie lub w rękawy szlafroka schowanemi, zaczęli wyłazić z domów i tworzyć gruppy na rynku.Żony ich, z małemi u kolan a z mniejszemi u piersi bachurkami, pozasiadały na klocach drzewa, przed domami leżącemi. Młode żydoweczki ująwszy się pod ręce, szły na spacer za miasto, przez sznurkową rogatkę a za temi zdążali piętnastoletni konkurenci. — Zaczęły się na rynku rozmowy, którym mocne jesta towarzyszyły. Spoglądali na mnie z boku. — Łatwo mogłem się domyślić że o mnie rozmawiali, bo przejeżdżający podróżny, jakiegokolwiek stopnia, czy jedzie karetą, koczem, lub skromnie po mojemu bryczką, zawsze musi zwrócić uwagę żydów, którym chociaż w szabas nie wolno handlować, wolno jednak być ciekawemi. — Jestem pewny że nie jeden z nich chętnie by ofiarował kawałek niedojedzonego kugla, byle tylko się dowiedział zkąd — dokąd i w jakim jadę interesie? — Nadszedł

wreszcie mój posłaniec; ale sam jeden! Ze smutną miną, bo nic nie wskurał, a obiecałem mu złotówkę, jeżeli namówi kołodzieja do zajęcia się robotą. — Z tak daleka jak mógł miarkować że głos jego usłyszę zawołał: Mówiłem Wielmożnemu Panu że z tym pijakiem nikt nie pokura! Nie chciał wyjść z szynku, chociaż mu obiecywałem że pan dobrze zapłaci. — Niech czeka! zawołał, u mnie już po robocie. Cały tydzień człowiek pracuje, żeby téż nie miał czasu odpocząć! — Odezwałem się do niego: ależ Pan jest podróżny i pilno mu jechać.—To niech jedzie kiedy mu pilno! — Jakże pojedzie bez koła? Na to rozśmiał się i powiedział: — Widzisz kumie że nie odjedzie i robota nie uciecze, zaczeka sobie do poniedziałku i zarobek nie przepadnie. Potém zawołał: Pani Marcinowa! dajże mi kwartę piwa, bo ten śledź strasznie w gardle piecze. Zasiadł do kwarty, a ja wiem doskonale że go z za stołu nikt nie wyciągnie. Zaczyna pić piwo, a potém gorzałkę, dopóki się ze szczętem nie zaleje. Narracya ta, głośno opowiadana, doszła do uszu starozakonnych. Wiedzieli co mi się przytrafiło, ale potrzebowali wiedzieć więcéj. Pod pozorem dania jakiejś pomocy, zbliżył się do mnie jeden z grona, a zdejmując czapkę długo na próżno wytrząsał krymkę do jéj wnętrza przyczepioną, wydobywszy ją nareszcie i kładąc na głowę, pociągnąwszy ręką po długiéj brodzie, grzecznie mi się ukłonił. — Wielmożnego Pana spotkał przypadek? — Tak, złamało mi się koło, a niepoczciwy kołodziéj nie chce naprawić — A z daleka W. Pan? – Z daleka, piętnaście mil od domu. — A z których stron? — Z za Wisły. — W. Pan mieszka w dobrach? — Znudziła mnie ta ciekawość i trochę ostrzéj odpowiedziałem, że się meldować nié mam potrzeby. — Niech się W.Pan nie uraża, to przecie nic nie kosztuje. Może ja tam mam krewnych albo znajomych. — Słuchaj mój kochany: już się wszystkim żydom od ciebie pokłonię, nie tylko jak przyjadę na miejsce, ale i po drodze, tylko mi nastręcz sposobność dostania koła. Może któren z was mi sprzeda, lub któren z mieszczan. Zapłacę więcéj niż warto, aby z miejsca wyruszyć.—W.Pan się śpieszy, pewnie za pilnym interesem? — Ciekawy żyd, zamiast

odpowiedzi, ciągle zadawał pytania, w końcu rzekł: Dziś szabas, żaden staro-zakonny handlować nie będzie, a mieszczanie wieczorem dopiéro do domu powrócą. Nié ma innéj rady jak czekać do wieczora; po szabasie może się koła wystaram. W czasie téj rozmowy, przystąpiło jeszcze dwóch żydków. Na ostatnie słowa zaczęli coś z sobą rozmawiać. — Prawda, rzekł piérwszy po chwili: jutro jarmark w miasteczku K* to W.Pan za żadne pieniądze u nas koła nie dostanie, bo my żydki za zarobkiem musimy jechać, my z tego żyjem; a wiem że i żaden mieszczanin koła nie sprzeda, bo każdy zechce być na jarmarku. — Wtém nadjechał mieszczanin na koniu, prowadząc za sobą złamaną przy robocie płużycę, a ten jego wypadek wybawił mnie z kłopotu. Tak to nieszczęście jednych, jest drugich zbawieniem! Często upadły, staje się stopniem po którym jego serdeczny przyjaciel wdziera się do góry. — Pokrótce opowiedziałem mój wypadek mieszczaninowi, żądając od niego pomocy — Żeby nie jutrzejszy jarmark (odpowiedział) chętnie bym Panu koła odstąpił, ale tak uczynić tego nie mogę, bo koniecznie tam być potrzeba. — Czy masz ważne sprawunki lub sprzedaż? — Chciałem zamienić szkapę i sprzedać korzec owsa. Może byśmy mogli się ułożyć, ja bym kupił owies potrzebny mi w drodze, a konia mógłbyś wolno na targ wyprowadzić. — A co by na to powiedziała moja kobiéta, która koniecznie chce jutro jechać? — To pójdzie piechotą, lub zostanie w domu gdy nie ma pilnéj potrzeby. A proszę Pana to by nas wyśmieli sąsiedzi! Nie, żadną miarą nie można! Nie wiem jakby to zrobić żeby i Panu dopomódz i sobie nie zaszkodzić?—Po krótkim namyśle dodał: —Może Pan ma znajomych w okolicy, to bym o milę koła pożyczył i dziś jeszcze mógłbym je mieć z powrotem. Pan byś tam koła dostał, lub na naprawę zaczekał. Lepiéj byś się Pan w jakim dworze zabawił niżeli w naszém lichem miasteczku. — Myśl wyborna! szło tylko o wynalezienie znajomego. Nastąpiły więc wypytywania się o sąsiedztwa. Wymieniono mi jednę i drugą wioskę w okolicy i tych wiosek właścicieli, ale żadnego nie znałem. Wkrótce staro-zakonny wskazał mi las, za gruntami

miejskiemi położony, zapytując się czy widzę te *krzaki Choiny* w dole rosnące? Nie widzę krzaków, tylko las. — No, co to za las? to same krzaki! myśmy już wszystkie chojaki dawno wykupili.—Może by się jeszcze co wybrało, ale Dziedzic się droży — Pomiarkowałem, że spekulujący żydek przez wyrachowanie, las zdaleka dobrze jeszcze wyglądający, nazywał krzakami. — Któż tam mieszka? Tam siedzi Pan Wojciech a za krzakami.. chcesz mówić za lasem — Niech będzie za lasem, kiedy W.Pan tak uparty, co mi to szkodzi ! — mieszka brat P. Wojciecha, Pan Stanisław···· Znajome nazwisko! Tak, przypominam sobie, razem byliśmy w szkołach — Jaka radość odwiedzić szkolnych przyjaciół! Mój Boże! jak wiele będziem mieli sobie do powiedzenia! Ileż to odmian od téj pory zaszło w koło nas i w nas samych! Niewidzieć się od lat młodzieńczych, kiedy się już dźwiga cztéry krzyżyki! Czy mnie też poznają? Uradowany temi myślami, prędko kończę układ o koło, każę zaprzęgać i niecierpliwie wyjeżdżam z miasteczka. Niecierpliwość ta jednak nie wstrzymała mnie od zebrania jakichkolwiek wiadomości miejscowych; mam bowiem zwyczaj rozpytywać się o nie. Miasteczko prywatne, nie ma swoich własnych wspomnień, a historija dziedziców da się w krótkości opowiedzieć.

Pradziad teraźniejszego dziedzica, za drugiego z Sasów, otrzymał chorąstwo jakiejś chorągwi, pod którą nigdy się nie zebrał komplet na obronę Rzeczy-Pospolitéj. — Starając się o tę godność, przepił z dworzanami Królewskiemi jeden z czterech folwarków, do których i to miasteczko należało. — Dziad, Szambelan króla stanisława na zabawach w Warszawie stracił folwark drugi. Ojciec... o! Ojciec to wcale co innego. — Ten walczył we Włoszech i w Hiszpanii.— Sprzedał prawda trzeci folwark, wrócił bez ręki, ale ozdobiony złotym krzyżem i znakiem legii honorowéj. — Pokój jego cieniowi! Oby ziemia, któréj bronił, lekką mu była!.. Syn posiada tytuł dziedzictwa jednego folwarku i miasteczka, ale tylko tytuł! bo właścicielem jednéj połowy jest Towa. Kre. i Skarb, a drugiéj mnóstwo wierzycieli z dziedzicznego

miasteczka — Folwark, i czynsze miejskie, stanowiły dochód przyzwoity ale nie *Pański*, a młody Dziedzic *chciał żyć po Pańsku:* w ciągu roku stracił trzechletnie dochody — Teraz się upamiętał, gdy już dochodu i kredytu nié ma. Cieszy się jednak nadzieją że albo wygra w karty, albo się bogato ożeni. Szczęść mu Boże! Ale spostrzegłem się żem nic nowego nie powiedział. Że to samo o wielu miejscach powiedzieć można. Tem lepiéj! nikt mi niepowie że go wymieniam. Jedźmy daléj. —

2. Pan Wojciech.

Po twardéj drodze, szybko jechałem do folwarku P. Wojciecha, nie zważaiąc na częste kamienie na drogę wywleczone po świéżém bronowaniu jarego siewu. Zwykle u nas, na drogach wsie łączących, pełno kamieni. Nikt ich nie sprząta, tylko same, jak gdyby z grzeczności, za każdem uderzeniem koła, na bok się usuwają, szkoda tylko że po niewczasie. Przejeżdżając wieś, w nienajlepszym będącą stanie, gdym nadto spostrzegł uciekające za mojem zbliżeniem się, dzieci wiejskie pomyślałem sobie: Pan Wojciech nie bardzo dba o swoich włościan! Zajechałem przed ganek dosyć porządnego domu. Zajazd na parę sążni długości wybrukowany, zapewne dla tego, aby ostrzegał gospodarza, o przybyciu gościa, i tą razą go ostrzegł. Zaledwo zdążyłem zsiąść z bryczki, wyszedł na przeciw mnie P. Wojciech. Nie poznał mnie, bo ciekawie mi się przypatrując, zdawał się namyślać jak ma przyjąć nieznajomego gościa. Ja także byłbym go nie poznał, gdybym niewiedział do kogo zajeżdżam. Tak chwilę staliśmy naprzeciw siebie; bo miałem śmieszną pretensiję że mnie lata nie zmieniły do tego stopnia, abym nie mógł być poznanym od szkolnego kolegi. Alem się wnet przekonał o smutnéj prawdzie gdy gospodarz zapytał: Kogo mam przyjemność witać w moim domu?—Pan mnie niepoznajesz? Zaledwo wymieniłem moje nazwisko, szczerze uścisnął mi rękę. Cieszę się, bardzo się cieszę żem cię zobaczył!

No ale nie stójmy w ganku, każ poznosić rzeczy. — Zapewne u mnie parę dni zabawisz? Daję ci słowo że cię nie prędko puszczę. — Wnet się rozgościłem. W jednéj chwili znikł wszelki przymus, tak byliśmy z sobą, jakbyśmy się nigdy nie stracili z oczów. Niechaj co chcą piszą o niestosowności posyłania dzieci do szkół publicznych, ja zawsze utrzymywać będę, że między wielu korzyściami, ta jest jedną z najdawniejszych, że towarzystwo szkolne zaszczepia równość i braterstwo, między młodzieżą (*). Jeżeli po długich latach przerwy, spotkasz szkolnego kolegę, odrazu mówisz i postępujesz z zupełném zaufaniem, nie zważając czy stosunki towarzyskie kładą między wami jaki przedział. Tak zwykle bywa w piérwszéj chwili spotkania. Prawda że czasem cofnąć się trzeba, gdy spostrzeżesz, że twój niegdyś kolega przez niecne postępowanie zszedł bardzo nisko. Ale zawsze pierwsza chwila jest serdeczną, szczęśliwą! A jedna, chociażby tylko chwilka szczęśliwa w życiu, warta wspomnienia! Cóż dopiéro mówić gdy się natrafi jednakowy sposób myślenia! gdy spotrzeżesz, że wspomnienia, które twoje słodzą życie, są również wspomnieniami twojego kolegi, gdy czujesz, że kiedy w koło ciebie wszystko zmienione, serca się nie zmieniły! Mówisz dziś o tém, o czém mówiłeś przed dwudziestą laty, z tém samém szczerém, serdeczném, zaufaniem. Zdaje się że przez te lat dwadzieścia odmłodniałeś, lub żeś się wcale nie starzał. Prawda że na téj drodze spotkasz i przykrości, bo ludzie się zmieniają; a zawód tém jest bolesniejszy im mniéj spodziewany. Wtenczas przypomniéj sobie żeś nabrał doświadczenia, że potrzeba ograniczyć się w wymaganiach, bądź wyrozumiałym, a raczéj wspaniałomyślnym, przebacz ludziom a zwłaszcza rodakom, ułomności ludzkie, ulituj się nad litości godnym, lecz pogardź godnym pogardy! Dla nikczemnych, nie ma

(*) Autor Bigosu, zkąd innąd szacowny, wyraził pod tym względem myśl bardzo arystokratyczną, któréj nie możem podzielać.

Przy. Autora.

przebaczenia. Pisząc to wspomnienie o dwóch szkolnych kolegach, przedewszystkiem starałem się o prawdę, bo nic nad prawdę piękniejszego, nic korzystniejszego nié ma! Każdemu oddając to, co mu się należy, może poprawię potrzebującego poprawy; a jeżeli tylko obrażę? — Cóż robić? pochlebiać nie umiem.—

Weszliśmy do pokoju, w którym P. Wojciech zwykle rezydował. Przyznacie, że urządzenie mieszkania, często daje sprawiedliwe wyobrażenie o tym, kto je zajmuje. Nic naturalniejszego! Każdy tém się otacza, to pragnie mieć w koło siebie, co najlepiéj lubi. — Opiszę pokój P. Wojciecha, a poznacie jego obyczaje.— Na ścianie kolorowane paryżkie sztychy. Jeden przedstawia Esmeraldę w objęciach kochanka, i godzącego na jéj życie Dyakona, z iskrzącém okiem i podniesionym w górę sztyletem. Najlubieżniejsza scena słynnego romansu! Obok tego dwie sławne piękności paryskie. Kopije te podobno więcéj kosztują, niżeli żywo ich oryginały. Cztéry sceny myśliwskie, jedna karczemna, dwa kopersztychy angielskich wyścigów konnych. Pod oknem stół, na którym kilka dzienników urzędowych, kilka reskryptów naczelnika powiatu, parę numerów kurijerka z roku przeszłego, rejestr pańszczyzniany i kalendarz. Staroświecki kantorek, zegar bijący na ścianie, na którym nad dwunastą godziną ładnie wymalowany szczygiełek. Na oknie, w gąsiorku, namoczony w spirytusie świéżo zebrany piołun, jako lekarstwo na wzmocnienie żołądka. W kącie, między piecem a kominkiem parę cybuchów; przy ścianie, okok pieca, wygodny, skórą wybity fotel.

Nie wspominam o książkach, dla ważnéj przyczyny... bo żadnéj nie widziałem. Powiedzcie, że z tego opisu już zgadujecie, że P. Wojciech jest to sobie już nie piérwszéj młodości kawaler, nie lubiący łamać głowy myślami, żyjący wygodnie, to jest, o jednéj godzinie kładący się spać i wstający codziennie o téj saméj porze. Jedzący zawsze do sytu i pijący czasem bez pragnienia. Jeżeliście tak pomyśleli, zgadliście najzupełniéj. Pan Wojciech jest bowiem sensualista, w całém znaczeniu tego wyrazu. Zresztą nie zły człowiek. Zaledwośmy przestąpili próg opisanego

pokoju, P. Wojciech na nowo mnie uściskawszy, zawołał stentorowym głosem: „U mnie możesz być bez ceremonij! Nié mam Bogu dzięki żony! nié ma się kogo żenować. Mów czém ci mam służyć? Głodnyś? może chcesz herbaty? powiedz mój łaskawco. Wszystko co dom ma, na twoje jest rozkazy. Może powiesz żem nie elegant, bo ja się brzydzę wszelkim przymusem. Nie lubię dzisiejszego wymuszonego poloru, ale lubię staro-polską serdeczną gościnność i z taką chcę cię przyjąć w moim domu.—Wdzięczny ci jestem mój kochany! ale tak mówisz, jak gdybyś mniemał że czyste, staropolskie serce nie może się zgodzić z polorem światowym; ja zupełnie przeciwne mam przekonanie. Coś w sercu dobrego po przodkach odziedziczył; szanuj, chowaj, jak skarb drogi chowa skąpiec, lękając się aby mu go zazdrosni nie wydarli. Jest to święta najszacowniejsza spuścizna.“ „Ależ postęp na drodze umysłowéj, nie tylko nie zmniejsza jéj wartości, lecz owszem pod pewnym względem czyni ją szacowniejszą. P. Wojciech z zadziwieniem spojrzał na mnie.—Nie wiedziałem że tak umiész perorować! Ale ja dysputować nie lubię, już się nie przerobię. Napijem się herbaty?“ — „Dobrze ja do gotowego.“ Zastukał P. Wojciech młotkiem drewnianym w ścianę przedzielającą jego pokój od izby czeladniéj (młotek był na goździku u téj ściany zawieszony, piérwszy raz zdarzyło mi się widzieć dzwonek tak dowcipnie zastąpiony). Weszła przeszło trzydziesto-letnia gospodyni, dosyć przystojna. Pan Wojciech spojrzał się na mnie i uśmiechnął. — Kasiu zrób nam herbatę, a na kolację zrazy z kaszą i kapłona. — To Pan nie będzie dziś pościł! — Prawda, Sobota, ja pościć będę, ale podróżny nié ma potrzeby. — Owszem mój kochany; na popasie jadłem obiad i chętnie poprzestanę na herbacie, zwłaszcza że nie jestem głodny. Gdy wyszła gospodyni, P. Wojciech rzekł do mnie: — Dobra kobiéta! Służyła za pokojówkę u mojéj bratowéj, poszła za mąż za mego lokaja, któren wkrótce po ślubie wzięty był do wojska. Przyjąłem ją za gospodynię i bardzo jestem z niéj kontent. — Wiem czegoś się uśmiechnął, ale nie mówmy o tém. Nic dziwnego że stary kawaler lubi rozprawiać

o swojéj gospodyni, lokaju, wyżle i wierzchowcu, bo to jego że tak powiem rodzina. Tém tylko otoczony; zresztą samotny, nié ma pociechy mówić o kochającéj i kochanéj żonie, nie może wychwalać swoich dzieci, cieszyć się ich wzrostem i postępem w naukach. Potrzeba mu przebaczyć, smutny bowiem żywot starego kawalera. Przyniesiono herbatę. Uważałem że P. Wojciech dużo nalał araku! Jaka to szkoda! serce dobre, ale złe nałogi. Wtém wszedł P. Suliga Ekonom, w jednéj ręce trzymając bat, podobny do pletni kozackiéj, ale większego rozmiaru; w drugiéj duży pęk kluczy, do ogromnéj jałowcowéj lachy rzemieniem przytwierdzony. Pozwólcie że go odmaluję: Pan Suliga mający lat przeszło pięćdziesiąt, jest posiadaczem małych iskrzących się ocząt, ale za to pożądnego nosa; którego kształt i kolor czerwono-fijoletowy, bardzo przypomina puszącego się indyka. Pod tym nosem, w znacznym od niego odstępie, nad samemi ustami, nakształt wąziutkiéj falbanki rosły krótko postrzyżone, siwiejące już wąsy. Moda noszenia takich wąsów jest bardzo wygodna dla zażywających tabakę. Wysoki, szczupły, ale żylasty; widać silnéj budowy muskularnéj, umie zapewne silnie władać Ekonomskim orężem i dla tego na chwilę z nim się nie rozstaje. Pozwolisz rzekł P. Wojciech obracając się do mnie, że nie robiąc z tobą ceremonij pomówię o mojém gospodarstwie.— Owszem bardzo proszę: wiesz że i ja gospodaruję, mówić więc będziesz w przedmiocie bardzo mnie zajmującym. — No cóż tam P. Suligo nowego? — Nic W.J. Panie, jutro jarmark w K** potrzeba by być na nim. — Prawda! ale ja może na nim nie będę, asan sam załatwisz interesa. — Dla czegoż, jeżeli masz potrzebę (przerwałem P. Wojciechowi) nie pojechać, ja ci w niczém przeszkadzać nie chcę i nie będę, zwłaszcza iż mam zamiar odwiedzić twego brata, a długo bawić nie mogę. — Jutro więc po śniadaniu możemy się rozjechać. — Dobrze odwiedź Stanisława, ja tam przyjadę po jarmarku to się jeszcze zobaczemy. Żeby nie ta nadzieja to bym cię od siebię nie puścił pomimo jarmarcznych interesów. Po tém oświadczeniu, o którego szczerości, bez niewdzięczności wątpić nie można, obra-

cając się do Ekonoma, rzekł P. Wojciech: — Cóż ten wół graniasty zawsze nie chce chodzić w roli?— Nie chce W. Panie.—Ja zaraz mówiłem że to wiosnowaty i narowisty, z zimy omdlał zupełnie bo gardy, poprawi się zapewnie jak się doczeka szczyku (*) ale teraz nim nie narobi. Kiedy teraz mizerny nie wiele za niego dostanę, trudno będzie go sprzedać. — Jeżeli nie sprzedamy odrzekł P. Suliga, to trzeba będzie go zamienić. Bernach ma dobrą parę wołów i ciołaka ładnego, damy mu naszego, a jednego z założnych odbierżemy. — Masz asan racyją, to i nie warto graniastego na targ wyprowadzać. — Zapewne W. Panie, zwłaszcza iż spodziewając się pańskiéj aprobacyj, już o téj zamianie Bernacha w polu uprzedziłem. Nie miał ochoty, nawet się hardo stawiał, kazałem mu tu przyjść do W. Pana. Wtém wszedł Bernach, skłonił się czapką do ziemi i stanął przy drzwiach pokorny i smutny. — Cóżto Bernachu! krzyknął P. Wojciech, nie chcesz zamienić założnego wołu? i jeszcze hardo się stawiasz Ekonomowi! A wiesz ty czém to pachnie! — Oj wiem W. Panie, ale jakże się nie użalić na taką krzywdę! — Jaka krzywda? Woły założne, a zatém moje, mogę więc odmienić jak mi się podoba. „Ale ja na załogę dostałem mizerne woliny, musiałem je sprzedać, a z tych co teraz mam, to jeden mego chowu, a drugi kupiony za tamte dwa założne. — No, to dobrze, masz cztero letniego ciołka, dostaniesz mego wołu graniastego, to będą mogły robić na przemian. Nié ma co dysputować! P. Suliga! odprowadzić mu graniastego, a przyprowadzić założnego. — Jeżeli tak, to ja dziękuję W. Panu za gospodarkę. Człek się nie rad powłoczyć, tu się urodził, i wychował, to gospodarstwo wziąłem po ojcach, ale cóż robić kiedy trudno wytrzymać! Nie jestem pijak ani złodziéj, nie będę daleko szukał chleba. P. Stanisław mnie przyjmie. (P. Stanisław wszystkich ludzi mi gorszy swojem postępowaniem z chłopami, rzekł sam do siebie pół-głosem P. Wojciech). Nie powstydzę się mojéj roboty. Ozimina się uśmiecha do człeka, a i jarzy-

(*) Tak nazywają młodą trawę.

nę wcześniéj zasiałem, wcześniéj niżeli we dworze. Pożal się Boże daremnéj pracy! Siałem poczciwie, niech sobie kto inny z Bogiem zbiéra." Gdy to mówił, łzy stanęły mu w oczach. Skłonił się biedny chłopek powtórnie do ziemi i wyszedł. Za nim wysunął się P. Suliga. Że zaś gospodarz wielkiémi krokami chodząc po pokoju zaperzony, zdawał się na mnie nie zważać, mogłem i ja nie postrzeżony prawie wyjść na ganek, gdzie mnie wiodła ciekawość jak się ta sprawa zakończy. Zaledwo o kilka kroków oddalony P. Suliga zawołał: „A widzisz chamie żeś nic nie wskórał, a jeżeli będziesz hardy, to dopiéro lepiéj się rozmówiemy." „Ja wiem o tém żem cham, a ty żeś syn szlachcica na czterech zagonach, do których pięciu was było braci, to myślisz żeś co lepszego odemnie? — A pamiętasz jak cię w karczmie pobili chłopi, to ci krew tak samo pociekła czerwona jak nam ciecze pod twojemi batogami. Nasi panowie byli by lepsi, żeby ich takie łajdaki nie buntowali. Mscisz się na mnie żem nie chciał przystać żebyś mi nadrachował dni najmu, abym się potém z tobą podzielił! Tyś gorszy szachraj od cygana." P. Suliga poskoczył z podniesionym batem, Bernach stanął i rzekł: „Jeżeli mnie trącisz, to w tobie kości pogruchoczę. Niech dziś umieram, ale i ty nie wyjdziesz zdrowo." Wstrzymałem może śmiertelną bójkę, namówiwszy P. Ekonoma aby powrócił do dworu. Zapewne rad był w duszy żem go powstrzymał, bo zuch gdy mógł przy pomocy cudzéj pokładać biédnego chłopka, sam na sam, widać był wielkim tchórzem, jak wszyscy mali, podrzędni tyrani. Po naszym powrocie do domu, toczyła się dalsza rozmowa o gospodarce, jak gdyby nie była przerwaną tak ważnym, tak nieludzkim wypadkiem. Widać że tego rodzaju zdarzenia, często się ponawiały. Trzeba będzie W. Panie, (rzekł Ekonom) przywieść od Herszka dwadzieścia korcy owsa, co nam zabrakło do siewu. — „Dobrze, poślesz asan fórmanki: Herszek powinien wydać, bom sobie to wymówił przy sprzedarzy." Obracając się do mnie, jak gdyby troszkę zawstydzony rzekł P. Wojciech: Potrzebowałem pieniędzy bo to teraz przednówek, musiałem sprzedać sto korcy owsa. Wiedząc że mi może zabraknąć do siewu, wy-

mówiłem sobie że żyd pożyczy ilość brakującą, a ja mu zwrócę z nowego, ma się rozumieć z procentem. Cóż robić, trzeba biedę łatać jak można! — To bardzo naturalnie (odrzekłem) nie chcąc znów (jak mówił P. Wojciech) perorować.

Jeszcze miałem W. Panu powiedzieć że Maciek nié ma czem zasiać staika. „To mu asan powiedz że jak w ten tydzień nie zasieje, dostanie 20 batów. Gdzież podział zboże?“—Już to W.Panie prawda że nie przepił, to sam widziałem że miał w komorze do siewu, ale umarło mu dziecko i na pochowek uprzedał.— „A mnie co do tego?, czy tak czy siak stracił, to mi wszystko jedno, jeżeli dać mu muszę.“ — Prawda że to W. Panu wszystko jedno, powiem Maćkowi że dostanie baty. — Tego już nie podobna było słuchać obojętnie.—Jakto! (zawołałem), jestże to u was wszystko jedno, czy chłopkowi zabrakło dla tego że przepił lub że musiał pochować dziecko! Ekonom wymknął się z pokoju. Mój Wojtusiu, pamiętam żeś miał dobre serce, posłuchaj co ono odpowie. Nie narzucam ci mojego zdania, nie chcę być natrętnym, a może niedelikatnym gościem, ale ubliżyłbym tobie gdybym nie miał pewności że się pomiarkujesz. Sam sobie odpowiesz że wspierać pijaków, jest to zachęcać ich do złego, ale wspiérać nieszczęśliwych, każe ludzkość. Wszak prawda, że sobie to mówisz w duszy? a może i przypominasz sobie w téj chwili że i twój ś. p ojciec tak postępował z włościanami i dla tego pamięć jego błogosławią — Pan Wojciech się zmięszał, rozczulił, ale po chwili rzekł: bardzo się zgodzisz z Stanisławem, on taki sam moralista, ale ja nie potrzebuję morałów, tylko pieniędzy, żebym je miał, to bym i wołu kupił i gospodarzowi dał zboża na dosianie. Sentencyi nie zaprzęgę do pługa, a jeżeli chcesz sentencyj, to ci powiem, i to po łacinie: Neces sitas omnia vincit.

Przyzwoitość niedozwalała więcéj mówić w tym przedmiocie. Zresztą, na cóż by się to zdało, kiedy P. Wojciech chociaż czuł że źle robi, dla braku funduszów nie myślał postąpić inaczéj. Być więc może że nie jeden staje się gorszym, nie z upodobania w złém, ale ze złego stanu finansowego. Majętniejszy, może by był nawet

hojnym. Lubo to nie usprawiedliwia nagannego postępowania z włościanami, śledząc jednak złe, w samym jego zarodzie, sądzę że taki mogę mu naznaczyć początek. Wszak i autor Wertera mówi w swoim romansie: Często w najsprośniejszych czynach ludzkich więcéj jest nieszczęścia niż zbrodni.

Długo obadwa siedzieliśmy w milczeniu, widziałem że to korciło P. Wojciecha. Zacząłem więc dopytywać się o Stanisława. Pamiętasz rzekł, że ja po wyjściu z czwartéj klassy, zacząłem przy ojcu gospodarować. Staś skończył szkoły i potém wszedł do wojska. Zaledwośmy doszli pełnoletności, umarł dobry nasz ojciec. Jako pełnoletni, bez żadnego wpływu obcego; zgodnie, po bratersku podzieliliśmy się inwentarzem i ruchomościami, na folwarki ciągnęliśmy losy. Namawiałem Stasia żeby wziął dymissiję i osiadł na gospodarstwie, ale się nie dał nakłonić, mówiąc że się chce czegoś dosłużyć. Ostrówkę, która na niego przypadła, mnie puścił w dzierżawę. Dopiéro rok cztérnasty sam gospodaruje. Zaraz w piérwszym roku ożenił się w sąsiedztwie, gdzie oddawna co rok bywał za urlopem. Wziął w posagu trochę gotówki i to mu dopomogło do urządzenia gospodarstwa. Pan Bóg widocznie mu błogosławi. Przyznać potrzeba że wziął bardzo dobrą kobiétę, która zajęta domowém gospodarstwem i dziećmi, jak anioł dobra, wszystkie z nim dzieli przykrości i umié je osładzać. Staś jest prawdziwie szczęśliwy. — Kiedy tak pojmujesz jego szczęście, czemuż sam nie starasz się o podobne? czemu się nie żenisz? Pan Wojciech spuścił głowę na piersi i rzekł smutnie: już za późno! — Kiedy byłem młody, uważałem że Mamule w sąsiedztwie na mnie liczyły, bo wiedziały że mój ojciec mający dwóch synów, posiada porządne dwa folwarki, a zatem że będę kiedyś dziedzicem jednego z nich. Z początku; nim pewna okoliazność o któréj powiem z kolei, otworzyła mi oczy, schlebiało mi to że się prawie o mnie starano. Zacząłem na serijo myśleć o jednéj Pannie i już miałem się oświadczyć, ale szczęściem, podsłuchałem jak czyniąc zwierzenia swojéj przyjaciołce mówiła, że gotowa iść za mnie, chociaż mnie wcale nie kocha,

bo spodziewa się że mię łatwo opanować będzie mogła, bo przy majątku, można żyć bez przywiązania. Tak ostrzeżony przestałem tam bywać. Z innemi pannami tak postępowałem, jak człowiek, który dla nich nie ma żadnego szacunku, pragnie wszystkie poniżyć, dla tego że od jednéj poniżony został. Domyślisz się że takie postępowanie nie jednało mi przychylności. Przestano mnie przyjmować w porządnych domach. Zacząłem się nudzić. Nie mogąc dla szukania rozrywki bywać w sąsiedztwach, wyjeżdżałem to do przyległych miasteczek na jarmark, to do Warszawy. Gospodarstwo musiało na tém cierpieć, jakoż istotnie wkradł się nierząd. Tak przeszedł mój wiek najpiękniejszy. Zniechęcony do świata, żyję teraz prawie samotnie. Staram się o poprawę gospodarstwa, ale mam jeszcze długi i dla tego niepodobna porządnie gospodarować. Namawiał mnie Staś abym się żenił, chciał mnie nawet niedawno wyswatać, ale piérwsze wrażenie zostało niezatarte. Powiedziałem że kiedy mając lat dwadzieścia kilka, mogłem stać się ofiarą interesu, jakże mogę przypuścić, abym wzbudził przywiązanie dziś, mając lat czterdzieści! Zresztą już się przyzwyczaiłem do mego położenia i żeby nie rozmowa z tobą, nie pomyślałbym o tém. Ale to już podobno jedenasta. Tyś zapewne zdrożony, jutro pogadamy więcéj, a teraz dobra noc." Długo nie mogłem zasnąć, myśląc o téj sprzeczności w charakterze P. Wojciecha, o téj mięszaninie złego i dobrego, jaką w nim widziałem. Serce dobre, naturalny rozsądek; to byłoby dostateczne dla P. Wojciecha, gdyby się był ożenił, zajął świętemi obowiązkami Ojca rodziny, bo to było by go skłoniło do porządniejszego życia. Bezżenny, przy braku wyższego ukształcenia, musiał upaść. Jakże wielu mamy takich Panów Wojciechów!

Jeszczem się nie obudził nazajutrz, kiedy P. Wojciech już wrócił od gospodarstwa. Był już wszędzie i wszystko obejrzał, bo P. Wojciech jest pilny, we wszystko wglądający. Cóż więc jest powodem, że gospodarstwo nie idzie jak iść powinno? Mamże się się odezwać że smutną prawdą. Dla czegoż milczeć! P. Wojciech drobnemi dłużkami obciążony, nie bardzo na jarmarkach wstrze-

mięźliwy, chodzi pilnie około gospodarstwa, ale mu nie może nadać potrzebnego ruchu. Czasem nieprzytomny, staje się zrzędny i zbyt drobiazgowy. Gdera wtenczas, słusznie czy nie słusznie, i dla tego podwładnych tak dobrze z hałasem oswoił, iż ci nauczyli się nie zawsze zważać na rozkazy. P. Wojciech nie umié utrzymać jednostajnéj potrzebnéj powagi. To zbliża poddanych do zbytniéj poufałości, to znowu rozgniewany katuje za najmniéjsze przewinienie. Gdzie nié ma równowagi, tam dobrze być nie może.

Po kawie rozjechałem się z P. Wojciechem. On pojechał na jarmark, ja do jego brata Stanisława. Ostatnie słowa pożegnania były: do widzenia!

Kronika

PIŚMIENNICZA POLSKA.

Album Warszawskie zebrane staraniem K. Wł. Wojcickiego. Nakładem i drukiem Stanisława Strąbskiego. Warszawa 1845 r. T. I str. 251, w pokroju ćwiartki mniejszéj, podobnéj do kroju ósemki wielkiéj.

Pięć drzeworytów Wincentego Smokowskiego zdobi to prześlicznie wydane Album, które, jako dowód postępu sztuki drukarskiéj, złożone jest na teraźniéjszéj wystawie. „Zbyt krótki czas„ — powiada K. W. Wojcicki — bo dwóch nie zupełnie miesięcy od powzięcia myśli do wykonania, nie dozwolił wielu literatom wykończyć prac zaczętych. Złożą one część drugą Album w roku bieżącym, jeżeli piérwsza niniejsza, odbita w małéj liczbie (bo podobno tylko w ilości 300 exemplarzy), znajdzie dobre przyjęcie.“ — I my więc, obie części razem ocenimy pod względem wartości wewnętrznéj; — teraz jedynie chwaląc stronę zewnętrzną. t. j. wydanie bardzo piękne i ozdobne. W następnym Numerze pisma naszego powiémy o drugiém dziełku daném także na wystawę. Tymczasem zaś wymieniamy przedmioty mieszczące się w Album: **Dzieje:** Powrót Kiejstuta przez G. J. Zarys dziejów zakonu maltańskiego w Polsce przez Adr. Krzyżanowskiego. Początki cywilizacyi i piérwotne religije azjatyckie przez Hen. Levestama. Germanowie i Germanija przez Maciejowskiego. Histo-

rija i życie, przez Ma orkiewicza. Święty Wojciech przez A. Przezdzieckiego. Jadwiga królowa polska, wyjątek z dzieła H. Skimborowicza p. t. *Polki-autorki, artystki i w dziejach narodowych sławne.* **Nauki:** Wyjątek z Grammatyki polskiéj Feliksa Żochowskiego. Wspomnienie niektórych gwarków olkuskich p. Łabęckiego. Niektóre myśli o piśmie muzyczném i jego wykonaniu. **Literatura:** Prośba o krzyżyk przez Balińskiego. Pielgrzymka do Jasnéj góry w Częstochowie p. Michała Balińskiego. Duch jaskini p. B. Dziekońskiego. Pieśni Ludu p. Lenartowicza. Nędza p. Niewiarowskiego. Pieśń wstępna i fragment pism L. Norwida. Komorek przez Józefa Paszkowskiego b. Pułk. Walenty Wańkowicz życiorys p. Smokowskiego Winc. - Pan Alfons przez P. Wilkońską. Humorystyka p. A. Wilkońskiego. Flisy-Oryle p. Wojcickiego. Dokończenie powieści p. Wolskiego. Stepy, poemat Gustawa Zielińskiego.

Lud i Czas, pismo poświęcone literaturze i moralności. Wydawca Ignacy Filipowicz. Wilno. Nakładem wydawcy, Drukiem T. Glücksberga 1845. T. I str. 211 w ósémce zwyczajnéj, z dewizą:

„Kto potrzebuje światła lampy stara się, aby w niéj oliwa była."

— Anaxagoras. —

Zamiast *wstępu*, jest rzecz *od Wydawcy* która mieści tylko prospekt, już w piśmie naszém dawniéj umieszczony w całości. Daléj następują: *Rozprawy, badania i postrzeżenia.* Na czele tego szumnego nadpisu czytamy: kilka uwag i spostrzeżeń nad literaturą. W tym urywku, na 9 ¼ karty, dowodzi wydawca, iż 3 typy, stanowią u nas piśmiennictwo: „Przedewszystkiém idzie idea wielka, po zburzeniu wyobrażeń XVIII wieku odnawiająca się... idea chrześcijańska, któréj u nas organem najmocniéj rozwiniętym jest *Pielgrzym.* — Daléj idzie umysł podniosły (!), głowa ledwo nienajpotężniejsza, reprezentująca sobie właściwą ideę...... jéj cel

szlachecki.... (*) Nareście popiéranie idei palingenetycznéj na drodze kształcenia się umysłowie i przemysłowie, jak i na rozkrzewieniu i wyrobieniu się socijalnéj siły ugruntowana, — jest jedną z najbliżéj nas leżących; lubo nie zupełnie nowa, u nas jednak we właściwym czasie umiejętnie zaczęła być rozkrzewianą, przez głęboko myślącą i mocno nauczoną głowę. (Ma to być August Cieszkowski, podług przypisku). Te 3 typy; wyrabiając ideę palingenetyczną (czyli umysłowo-przemysłową jak autor ją określa), tak są mocne jak umiejętne...... Dobrze pojąwszy rzeczy, życzyćby należało, aby każda z tych idei jak najdzielniéj kształciła się sama w sobie i *propagowała* się jak najsilniéj, do czasu, kiedy porządniewyrobione i uorganizowane, pojmą się, iż każda z nich, nie jest celem, lecz środkiem, *organem*, *wiodącym do spólnego jedynego celu!!!!!* „Spodziewaliśmy się innych wyobrażeń w piśmie z tak piękną nazwą, jak jest *Lud i czas*. — Na 7 artykułów prozą, mieści ten dziennik tyleż poezyj czyli wierszy, z których żadna się nie odznacza wyższością polotu. Z prozy, niezłe są *Wspomnienia z życia akademickiego* ale jeszcze nie skończone.

Wspomnienia z czasów Napoleona. Warszawa Nakładem i drukiem S. Orgelbranda 1844 i 1845 roku, cztery tomiki w dwunastce.

Ze zbioru tych *Wspomnień* przez Emila Marco de Saint-Hilaire, wyszły w przekładzie polskim następne dziełka: Mniemana śmierć Napoleona, czyli Zamach Maleta w 1812 r.—Historija pomieszkań Napoleona w Paryżu.—Książe d'Eughien, scena historyczna z czasów konsulatu.—George, Moreau i Pichegru.—Przyrzeczony jest przez tęż księgarnię dalszy ciąg: Napoleon w biwaku w Tuilleries i na wyspie ś. Heleny; Anegdoty nie wydane o rodzinie i dworze.

(*) Autor Pamiątek szlachcica litewskiego.